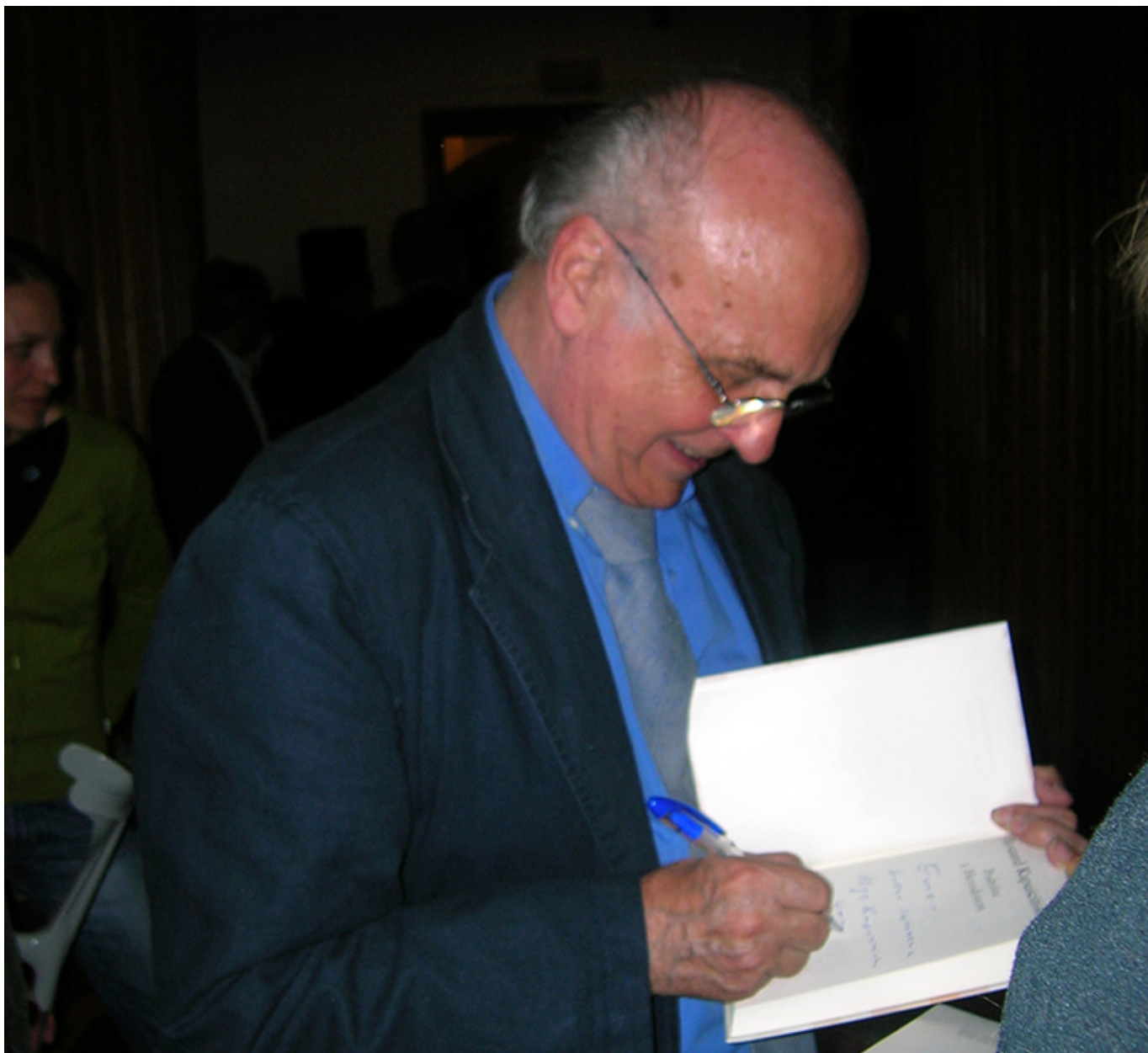


Odłożona rozmowa o Polesiu i Kresach



Ryszard Kapuściński w Domu Literatury w Warszawie, 2 października 2006 r., fot. R. Mieczkowski

Romuald Mieczkowski (*Wilno*)

Widziałem Go ostatni raz 2 października 2006 r. w Domu Literatury, na Krakowskim Przedmieściu, w Warszawie. Podczas wieczoru poetyckiego. Siedzieli we trójkę na

scenie, w wypełnionej, rzadko ostatnio, po brzegi sali. W środku – Julia Hartwig, bohaterka spotkania, która miała cykl spotkań z okazji swego 85-lecia. Obok – jej przyjaciele – Ewa Lipska, pełna optymizmu i witalności, która zagaiła ten wieczór, zaś po lewej stronie pani Hartwig – właśnie Kapuściński. Mówił cichym, bardzo spokojnym głosem, o wątkach reporterskich w jej twórczości, uśmiechając się pogodnie.

Po spotkaniu miał pełne ręce roboty – co rusz podchodzono do Niego po autografy. Każdy chciał z Nim zamienić choć parę słów, zrobić razem zdjęcie. Był na topie – jego kandydaturę zgłoszono do Nagrody Nobla, dyskutowano półgłosem o szansach dla kolejnego Polaka. Oczekałem aż będzie wolniejszy i zapytałem pisarza:

- Kiedy Pan znajdzie trochę czasu na tę naszą rozmowę, która ciągle się odkłada?

Odpowiedział, że dłuższa to może być rozmowa. Że więcej czasu raczej będzie chyba miał już po powrocie z Ameryki, dokąd ma wyruszyć z wykładami na Uniwersytecie Columbia... Zapewnił mnie, że na pewno da mi znać, że musi się zastanowić co do terminu, że również chce ze mną porozmawiać.

A miała to być szczególna rozmowa. Od dawna chciałem bowiem porozmawiać z Mistrzem Reportażu. Nie o szerokim świecie, dalekich krajach i zaskakujących puentach w postrzeganiu *innego* obok, nawet nie o tajemnicy bycia poetą – co o rodowodach Jego rodziny, o Polesiu, którego czar do dzisiaj żyje we wspomnieniach ludzi stamtąd się wywodzących, o Pińsku. Chciałem pokazać mu zdjęcia z Jego rodzinnego miasta i Polesia, wykonane przez Zofię Chomętowską. Pierwsze pochodzą z roku 1916, inne z lat dwudziestych. Dotarły one do mnie okreśną drogą, zwycięsko pokonując czas i wszystkie niedogodności losu aż z Argentyny. Przysłał mi je w darze, jako redaktorowi, piszącemu o ludziach z dawnych Kresów, Antoni Koelichen, z życzeniem, abym w odległych czasowo i bliższych terytorialnie prądródlach ojcowizny przybliżył sobie tamte strony, przysłał mi te unikalne zdjęcia z przekonaniem, że zostawia je „w pewnych rękach”.

Chciałem zapytać Kapuścińskiego o Jego przedwojenne dzieciństwo, o pierwsze kroki człowieka z Kresów w Polsce. O tym, czym ta kraina jest dla Niego dzisiaj. Tak się stało, że o tym znacznie mniej wiemy – wątki, pozornie monotonne i mniej ciekawe dla większości Jego rozmówców, niczym błota, mokradła i rozlewiska

Polesia, zostały przyćmione dalekimi podróżami reportera i Jego rozważaniami nad pojęciem etyki i tolerancji w dzisiejszym świecie.

Miała to więc być rozmowa rodaków ze Wschodu, których łączy osobliwa nić porozumienia, jak stwierdził Pan Ryszard. Dla mnie – ucztą słuchania, dowiedzenia się wielu istotnych rzeczy, poznanie Kapuścińskiego z tej, mało eksponowanej strony.

Sławnego reportera poznałem w dość dziwnych okolicznościach. *Pierestrojka* weszła u nas w swą burzliwą fazę przemian. Na Litwie zaczynało na dobre wrzeć. W 1989 roku zawitał do Wilna Ryszard Kapuściński. Nie wiem, w jaki sposób odnalazł mój telefon i kto Mu go dał, w każdym razie zadzwonił do mieszkania na Karolinkach, gdzie wówczas mieszkaliśmy, i poprosił o spotkanie. Po chwili przybył, chyba taksówką, razem z Piotrem Ikonowiczem. Już na wstępie dostałem ofertę współpracy z PAP, co więcej, Kapuściński wręczył mi coś w rodzaju akredytacji czy legitymacji, po polsku i po angielsku, dokument z odpowiednią pieczęcią, co pozostało gdzieś w papierach, ale już w innym mieszkaniu.

Ale moje losy tak ułożyły się, że i z tej oferty, jak i z wcześniejszej oferty robienia doktoratu w Instytucie Kulturoznawstwa we Wrocławiu, u prof. Stanisława Pietraszki, wyszły nici – z początku byłem zaangażowany mocno w działalność pierwszej po wojnie społecznej organizacji polskiej, której byłem współzałożycielem, wiele czasu wymagała praca w telewizji, gdzie prowadziłem magazyn cotygodniowy, oładnęła też mną redaktorska pasja przy wydawaniu „Znad Wilii”, pełna na tamtym etapie niepewności i trudnych zakrętów. Tym niemniej wysłałem jakieś informacje pod wskazany adres.

Znajomość odnowiła się na początku roku 2005, po tym, jak spotkaliśmy się w Warszawie, podczas wręczenia nagród przez redakcję „Rzeczpospolitej”.

- Śledziłem w ciągu lat pana działalność – powiedział wtedy podczas przyjęcia. – Jak się panu powodzi?

Zamiast opowiadać, dałem Mu numer kwartalnika „Znad Wilii”, jaki miałem ze sobą.

Po pewnym czasie otrzymałem list, datowany 13 marca 2005 roku. Znany reporter i

poeta pisał:

Drogi Panie Romualdzie,

Było mi przyjemnie spotkać Pana na uroczystości wręczenia Nagrody Dariusza Fikusa i chociaż przez chwilę z Panem porozmawiać. Dziękuję za ofiarowany mi 4 numer kwartalnika „Znad Wilii”. Jestem pełen podziwu, uznania i szacunku dla tego, co Pan i Pańscy współpracownicy robicie na Litwie, zachowując tak wysoki poziom pisarski i informacyjny.

Życzę Panu wszystkiego najlepszego i załączam szczere, przyjacielskie pozdrowienia.

Odpisałem na ten list. I właśnie wtedy zaczęła kiełkować chęć dłuższej rozmowy, chęć słuchania tego niezwykłego człowieka. Potem spotykaliśmy się przy okazji wieczorów literackich, m.in. w warszawskim Klubie Księgarza, w Muzeum Adama Mickiewicza.

Ryszard Kapuściński odezwał się, jak mówił przy okazji ostatniego spotkania. W ostatnim e-mailu, datowanym 28 października 2005 roku, ubolewał, że na razie nie możemy się spotkać, bo intensywnie pracuje nad kolejną książką - *Lapidarium VI*, zaś spotkania i rozmowy Go bardzo rozpraszają. Prosił o wyrozumiałość, wyrażając nadzieję, że takie spotkanie na pewno się odbędzie...

Spotkania w powojennym Londynie

Rok 2020 - rokiem Leopolda Tyrmanda



Leopold Tyrmand, fot. Muzeum Jazzu
Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Zaraz po wojnie nie łatwo było odwiedzać Anglię. Do pierwszych gości w Londynie należał Leopold Tyrmand. Pamiętam jak go przyjmowaliśmy, jako autora głośnego już "Złego". a on popisywał się kolorowymi skarpetkami i buńczucznym oświadczeniem, że ks. kardynał Wyszyński i on byli prawdziwymi przywódcami młodzieży polskiej. Przyjechał też Jerzy Zawieyski, którego pamiętam za strofowanie nas, że krytykujemy społeczeństwo polskie, które przecież żyło w innych warunkach. Zdumiało mnie jego prawie konspiracyjne pytania, czy w Londynie może on po prostu wejść do sklepu i kupić ubranie bez talonu i jakiegoś zezwolenia.

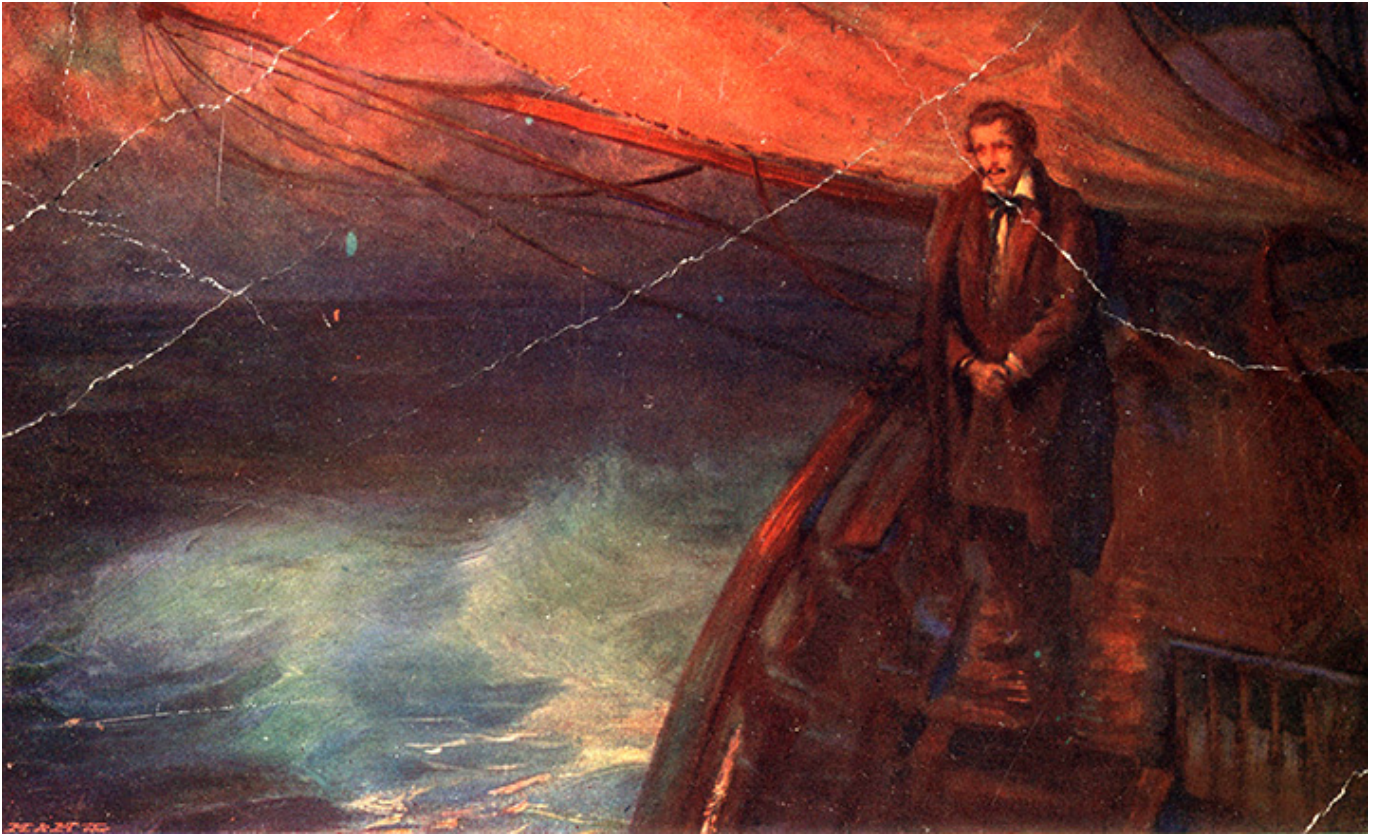
W Londynie często spotykaliśmy się w restauracji i kawiarni Dakowskiego blisko kolejki podziemnej South Kensington, bo była blisko polskich instytucji takich jak Ognisko Polskie, Instytut gen. W. Sikorskiego czy Brampton Oratory. Wspominam picie kawy po wykładach na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie z Józefem Bujnowskim, Wandą Chruściel, Krystyną Cywińską, Marią Nowakowską, Wojciechem

Gniatczyńskim, Ferdynandem Goetlem. Zygmuntem Ławrynowiczem czy Napoleonem Sądkiem, żeby wymienić kilka nazwisk. Goetel relacjonował rozmowę na granicy, kiedy wyjechał z Polski. Nie pamiętam, czy chodziło o wizę holenderską czy paszport. Dość, że celnik na granicy oddał mu paszport ze słowami: “No, to leć pan, latający Holendrze”.

Ze Stefanem Kisielewskim mówiłem o muzyce. Byłem ciekaw, kogo widział na polskim firmamencie jako najjaśniejszą gwiazdę wśród młodych kompozytorów. Wymienił Henryka Mikołaja Góreckiego. Wtedy było to dla mnie nowe nazwisko, ale niedługo później jego trzecia symfonia pieśni żałosnych podbiła świat. Kiedy na początku któregoś grudnia znajdowałem się w kalifornijskim Palm Springs, lokalne amerykańskie radio nadało Góreckiemu życzenia urodzinowe i emitowało jego sławną symfonię, w której Amerykanka Dawn Upshaw piękną gwarą śląską czarowała słuchaczy.

Miło mi było, że współczesny Polak cieszył się takim mirem i natychmiast pchnąłem do niego list z dobrą wiadomością.

Ostatnia podróż wieszczą



Pocztówka z wizerunkiem Juliusza Słowackiego, ilustracja do wiersza „Smutno mi Boże”, fot. Biblioteka Narodowa

Włodzimierz Wójcik (*Sosnowiec*)

Pamiętam doskonale odczyt Kazimierza Wyki - mojego mistrza - i jego wielką radość, kiedy stwierdził, że Norwid udając się z Krakowa na Zachód, przejeżdżał przez jego rodzinne Krzeszowice. Ja też szukałem czegoś szczególnego i znalazłem Słowackiego... Wiadomo, że wielki romantyczny poeta był na Śląsku, ale tym Dolnym; we Wrocławiu spotkał się z ukochaną matką - Salomeą. Ale w Sosnowcu, czy w Katowicach? A jednak... Wiadomo, że Słowacki - jeden z polskich wieszczów narodowych - na świat przyszedł w Krzemieńcu 4 września (23 sierpnia wedle starej daty) 1809 roku, jego serce zastygło w stolicy Francji 3 kwietnia w 1849. Poetę pochowano na paryskim cmentarzu Montmartre. Wiadomo też powszechnie, że obdarował nas cudownymi wierszami lirycznymi, towarzyszącymi nam przez życie, poetyckimi powieściami (Jan Bielecki, Ojciec zadzumionych), najwyższej klasy dramatem romantycznym (Kordian, Horsztyński, Balladyna, Lilla Weneda, Mazepa, Fantazy, Sen srebrny Salomei), poematem dygresyjnym (Beniowski) czy historiozoficznym (Genezis z Ducha, Król-Duch), wreszcie pełnymi ciepła listami do matki i przyjaciół, które się czyta z zapartym tchem i szczerym wzruszeniem.

Podobnie jak Chopin, zmarł przedwcześnie pośród garstki przyjaciół. W dniu zgonu otrzymał list od ukochanej matki – Salomei. Nie był jednak w stanie wziąć go do ręki, tak był osłabiony. List przeczytał mu jego przyjaciel, Zygmunt Szczęsny Feliński. Po lekturze umierający powiedział: „Jaki Bóg dobry, że mi przed zgonem daje tu jeszcze wielką pociechę. Pożegnanie i błogosławieństwo matki...”. Na jego skromnym pogrzebie było zaledwie 30 osób. Smutna to prawda. 78 lat później niepodległa już Polska upomniała się o swojego syna postanowieniem sprowadzenia jego prochów do kraju.

Rankiem 14 czerwca 1927 na cmentarzu Montmartre dokonano ekshumacji zwłok Słowackiego z udziałem wybitnego polskiego poety, skamandryty, Jana Lechonia. Znalezione kostne szczątki włożono do małej metalowej trumienki, tę zaś do większej – hebanowej. Po odprawieniu nabożeństwa w polskim kościele Assomption, orszak przeszedł ulicami Paryża do ambasady polskiej, gdzie trumna była wystawiona na widok publiczny. Wieczorem przewieziono ją do Cherbourg. Z francuskiego portu polski statkiem „Wilia” do Gdyni, stąd na torpedowcu „Mazur” do Gdańska. Ostatnią drogę prochy polskiego poety odbyły wiślanym statkiem „Mickiewicz”, który zatrzymywał się w Grudziądzu, Toruniu, Włocławku, Płocku, Wyszogrodzie i Modlinie. 26 czerwca w południe statek przybył do Warszawy. Po odbyciu uroczystości pogrzebowych w Katedrze Świętego Jana, z udziałem prezydenta Ignacego Mościckiego, przez całą noc mieszkańcy stolicy oddawali hołd twórcy Króla-Ducha. Nazajutrz z Dworca Głównego trumnę przewieziono do Krakowa. Pociąg zatrzymywał się w Skierniewicach, Koluszkach, Piotrkowie, Radomsku, Częstochowie, Zawierciu, także u nas w Sosnowcu i w Katowicach. Tysiące naszych rodaków oddawały hołd poecie-wieszczowi. Od godzin wieczornych 27 czerwca w krakowskim Barbakanie mieszkańcy podwawelskiego grodu pochylali głowy przed trumną poety. Rankiem następnego dnia kondukt przemaszerował koło kościoła Świętej Anny, aby oddać hołd matce Słowackiego, która tutaj przed laty ufundowała tablicę pamiątkową dla syna. Na Wawelu prochy Słowackiego powitał Józef Piłsudski, który swoje piękne wystąpienie zakończył znamienymi słowami skierowanymi do grupy oficerów:

W imieniu Rządu Rzeczypospolitej polecam dziś Panom odnieść trumnę Juliusza Słowackiego do krypty królewskiej, bo królom był równy.

Kostne szczątki Słowackiego pochowane zostały w wawelskiej krypcie obok Mickiewicza. Jego serce wessała ziemia francuska. A jednak poeta przesłał własne serce Matce-Polsce i Matce-Salomej w poetyckim słowie. Mamy na myśli jeden z głośniejszych jego wierszy „Testament mój”. Warto przytoczyć dwie zwrotki z tego tekstu:

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami,

Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny,

Dziś was rzucam i dalej idę w cień - z duchami -

A jak gdyby tu szczęście było - idę smętny.

[...]

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą

I biedne serce moje spalą w aloesie,

I tej, która mi dała to serce, oddadzą -

Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie.

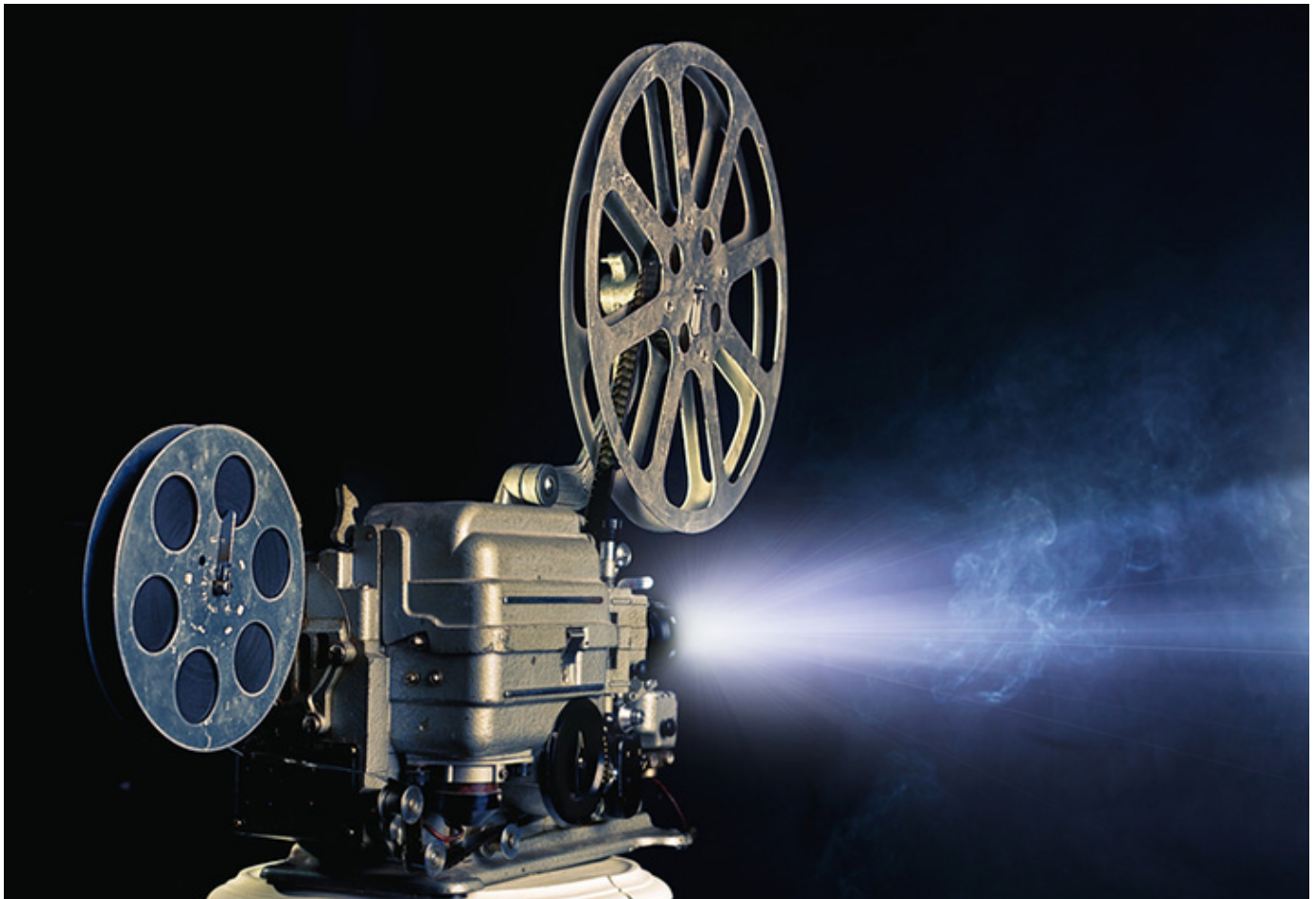
Cóż do tych wzruszających słów dodać? Wydaje mi się, że tekst jest dość jasny, zrozumiały dla każdego czującego Polaka... Także i dzisiaj, kiedy żyjemy w nie tak bardzo romantycznych czasach... Wartości wyższego rzędu - imponderabilia - nie umierają, mimo że w niektórych szkołach program nauczania literatury romantycznej jest wyraźnie redukowany...



Sprowadzenie szczątków Juliusza Słowackiego do Polski, uroczyste przywitanie trumny w Gdyni, 1927 r., fot. wikipedia

O tych uroczystościach myślę z prawdziwym wzruszeniem. Wracam myślami do mojego ojca, który o nich opowiadał mi w okrutny czas okupacji. zabierając mnie wielokrotnie z Łagiszy, gdzie mieszkaliśmy, do Sosnowca. Oto bowiem w roku 1927 służył w wojsku polskim w Krakowie i brał udział w uroczystym pochodzie na wzgórze wawelskie. Jego wspomnienia i swojskie gawędy, żywe i barwne, pełniły funkcję swego rodzaju podręcznika historii w czasie, gdy polska książka była tępiona przez Niemców wszelkimi metodami. Tym domowym sposobem odbywało się patriotyczne wychowanie mojego pokolenia, tak kształtowała się legenda romantyczna, dzięki której łatwiej było przetrwać narodowe niedole i zachować poczucie własnej tożsamości. Nic dziwnego, że po latach, po studiach polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, wróciłem do postaci Marszałka, prawdziwego Hetmana, dzięki któremu ukochany syn Salomei - powróciwszy pośmiertnie z emigracji - znalazł się pośród królów. Pisząc książkę Legenda Piłsudskiego w polskiej literaturze międzywojennej i szereg innych prac na ten temat, miałem to przeświadczenie, że tyle jesteśmy warci, ile kochamy naszych zmarłych.

Objazdowe kino



Romuald Mieczkowski (*Wilno*)

Z początku pojawiał się on, najczęściej na motocyklu, w podniszczonej czarnej skórzanej kurtce i przekrzywionym na bok berecie, sypiący dowcipami i uśmiechnięty, obiekt zazdrości chłopców i westchnień dziewczyn.

Niektórym z nas podawał rękę, co było szczególnym wyróżnieniem, potem najbardziej zaufanym wręczał cienkie rolki papieru. Były to afisze, na których chemicznym ołówkiem, zamasyście i z wykrętami wypisano nazwę filmu. Wyruszaliśmy rowerami z nimi w różne strony i już wkrótce afisze widniały na przystanku autobusowym, przy sklepie, a także na studniach, słupach i płotach.

Po południu z miasta nadjeżdżał samochód, który pod pustą stodołę przywoził sprzęt i metalowe pudełka z filmem. Kinomechanika osaczali stali bywalcy, mężczyźni, którzy częstowali go papierosami i wódką. Na olbrzymią, co najmniej stuletnią lipę, wciągaliśmy skrzynie z głośnikami, podłączone do wzmacniacza - po czym rozpoczął się wielki koncert.

I płynęły melodie w ciepłe niedzielne popołudnie ponad dachami chat, sadami, zgarbionymi od ciężaru dojrzewających jabłek i ogrodami, pełnymi wonnej maciejki. Były to dźwięki o magicznej sile - przywoływały ludzi na ganki, niektórzy wynosili zydle przed domy, zbierali się grupkami. Muzyka wyzwała żarty, sprzyjała snuciu rozmów, czyniła nastrój świątecznym. „Cicha woda”, „Wiśniowy sad”, „Dzieci Pireusu”, „Besame mucho” - to tylko pierwsze z brzegu tytuły największych przebojów z tamtych lat. Były one puszczane po kilka razy z rzędu - dziewczyny tańczyły ze sobą, a chłopcy je zaczepiali z papierosami w zębach, śmiejąc się i czyniąc głośne uwagi.

Płyty puszczał największy po kinomechaniku specjalista - chłopak, który przyjeżdżał do krewnych z miasta. Głuchy na wszelkie prośby, konsekwentnie realizował swój repertuar, zresztą dużego wyboru nie było. A tymczasem przy wejściu do stodoły na stojaku stał już zmontowany projektor, na przeciwległej ścianie jaśniało prześcieradło ekranu. Powoli zapadał zmrok, chowające się za horyzontem słońce gubiło ostatnie promienie, ale niebo było jeszcze jasne.

- Zaczynaj, zaczynaj! - rozlegały się głosy przed stodołą. Ze wszystkich stron na rowerach i motocyklach, pojedynczo i grupkami wciąż napływali ludzie. Kinomechanik jeszcze kilkakrotnie pytał o godzinę, potem w towarzystwie swych pomocników zaczął wypraszać z „sali” niecierpliwych: rozpoczynała się sprzedaż biletów. Powstawał z tym pewien mankament, bo ciągle ich brakowało i trudno było określić, kto już płacił, a kto nie. Zwiększało się grono pomocników, które też nie kwapiło się do płacenia, długo pomocnicy wyliczali swe zasługi i zwlekali. W dodatku stodoła była nieszczelna... Tłumy napierały, domagano się filmu, muzyka już nie grała. Szczęśliwcy usadowiali się w najlepszym miejscu - w pobliżu ekranu. Kiedy wszystkie ławki zostały zajęte, siadano gdzie się tylko dało - na skrzyniach i różnych pudłach, kawałkach desek, wreszcie na toku, to jest na ubitej ziemi. Sprytniejsi wdrapywali się wysoko aż pod dach - na belki i rozłożone na nich drągi, lokowali się

na mocowaniach stodoły. Mistrz wieczoru machnął w końcu ręką na wchodzących na gapę i zakrzętał się przy aparaturze.

I oto zgasła jedyna żarówka, zawieszona wysoko na drucie. Jak świętojańskie robaczki rozjaśniały ogniki papierosów wbrew surowemu zakazowi palenia. Przez moment było tak cicho, że słycać było odgłosy szczekania psów, potem rozległ się chichot, szybko zagłuszony przez gwizdy i tupanie nogami. Ktoś krzyknął: „Majstra na mydło!” - i w stodole zapanował nieopisany rozgardiasz. Ale oto smuga światła prześlizgnęła się ponad głowami, przesączaając się przez kłęby dymu i rozbłysła na ekranie. Ostrość obrazu pojawiła się nie od razu, lecz nie była to sprawa istotna - wszak na napisy i tak nikt nie zwracał uwagi. Po chwili wszyscy żyli losami bohaterów filmowych, a troski ulatywały gdzieś daleko - i nie daj Boże, żeby się urwała taśma!

Siedzieliśmy z zapartym tchem blisko ekranu, a przed nami snuł się świat daleki i wyśniony, w którym tak wiele się działo! Jakimże kontrastem wydawał się on wobec dusznej stodoły, w której mieszały się zapachy taniej wody kolońskiej i siana, samogonu i cebuli, potu i łuskanych pestek... Ta dziwna mieszanina zapachów kojarzy mi się jednak dzisiaj z niekłamanym urokiem objazdowego kina. Kina, które zawsze miało happy end.

Bądź przygotowany. Wiersze.



Florian Śmieja (*Mississauga, Ontario, Kanada*)

MEMENTO MORI

*Moja żona ma mi za złe to moje
zabieranie się do odejścia. Przecież
milczenie o nim sprawy nie oddali
może daje komfort niepamiętania
o egzystencjalnych mieliznach, którymi
uślane jest życie, a których i tak*

*nie wyminiemy. Lecz „memento mori”
jest zazwyczaj raczej niepopularne
i ambiwalentne jak już stwierdziła
święta Teresa w swych pamiętnych wierszach.*

KASOWANIE

*Niebanalną zaletą internetu
jest bezdenny koszt przez jedno kliknięcie
uruchamiany. To w nim szybko kończą
niepożądane przesłania upartych
korespondentów oszczędzając czasu
oraz fatygi pokwitowania bzdur.*

*To on skutecznie broni przed zalewem
głupoty zagwarantowanej ponoć
w konstytucji prawem demokratycznie
wszystkim ludziom bez żadnego wyjątku.
Przecież już Dickens nazwał prawo osłem.*

ZALETA CZEKANIA

Umiejętność czekania to zaleta

*chwalebna w nerwowym trybie wydarzeń
codziennych, to znakomita odtrutka
na zgiełk i hałas dziś nam serwowany
powszechnie i z jawną premedytacją.
Wrogowie ciszy już nie mają
za grosz cierpliwości przeto pośpiech
pochłonął ich człowieczeństwo, zaraził
maszyną a ta jak pociąg z daleka
wiadomo, że na nikogo nie czeka.*

CELOWOŚĆ NATURY

*Starość uczy awaryjnego trybu.
Zwichnięte lewe ramię zastępuje
pomocne prawe. Nogom pomagają
chwytne ręce, bezpieczne poręczce,
kij czy laska chronią przed upadkiem.
Samoobrona organizmu budzi
respekt i jest dobrym przykładem wielkiej
mądrości wyrozumiałej natury.*

BORGES SENIOR

*Już Borges wiedział, co to jest wysoki
wiek, w którym każde przedsięwzięcie z nocą
już graniczyło i było przygodą
tak tajemniczą jak wszechświat.*

*Ktoś taką wrażliwością obdarzony
nie może odejść i przepaść bez śladu
bez pozostawienia nam drogowskazów
jak się znaleźć w magicznych labiryntach
oferowanych przez bogatsze życie.*

Chociażby misternej nitki Ariadny

LIKWIDACJA KONTA

*Każda noc jest próbą bezbolesnego
przemieszczenia się na widny brzeg świtu.*

*W kokonie ciepła gwarantującym start
świadomości budzimy się z letargu
by zmobilizować rezerwy jeszcze
dyspozycyjne do podjęcia zadań
nadal pilnych i czekających woli*

*zlikwidowania otwartego konta
a to wszystko dla świętego spokoju
uznanego za ostateczne dobro.*

BĄDŹ PRZYGOTOWANY

*Choć perfekcyjne rozwiązanie quizu
rano pocieszy jako dobry omen
zabieraj się za dzień i obowiązki
spełń bez szemrania, ciesz się, że masz cały
aby im podołać. Codziennie bliżej
do kresu. Nadejdzie. Nie twoją
sprawą jest termin: bądź przygotowany.*

Florian Śmieja, poeta, iberysta, ur. 1925 w Kończycach, zm. 2019 w Mississaudze.

Leszek Moździerz-Monico. Z satyrą i humorem przez życie.

Leszek Moździerz-Monico (*Austin, Teksas*) nauczył się pisać po polsku dawno temu w Gorzowie Wielkopolskim. Od dziecka zafascynowany podróżami postanowił studiować handel zagraniczny (na dawniejszym SGPiS-ie) w Warszawie. Tuż przed stanem wojennym w poszukiwaniu wielkich przygód wyjechał do USA. Po przeżyciu pięciu zim w Chicago, w czasie których nauczył się programowania komputerowego, przeniósł się do San Diego w Kalifornii. Na tamtejszym uniwersytecie „w poszukiwaniu” magistra znalazł także swoją żonę - Cecylię, pochodzącą z Republiki Salwadoru. Owej czarnulce zawdzięcza drugą część nazwiska, dwie dorodne córki oraz nauczenie się języka Cervantesa.



Czyżby herbata była afrodyzjakiem? Leszek i Cecylia.

Oprócz podróży, fotografowania i dokumentowania ich na Instagramie (http://www.instagram.com/humorous_travelers), Leszek ma parę innych koników. Od dziecka uwielbia rozwiązywać krzyżówki oraz zadania szaradziarskie, takie jak kalambury, anagramy, metagramy i homonimy. Sam je też układa. Od dwóch lat współpracuje z miesięcznikiem „Szaradzista”, gdzie opublikował 30 rymowanych zagadek. Układanie rymów sprawia mu dużo frajdy, jest to, bowiem swojego rodzaju łamigłówka.

Leszek napisał także sporo satyrycznych wierszy, fraszek i aforyzmów, z których kilkanaście zostało wyróżnionych w Ogólnopolskim Konkursie na Aforyzm i Fraszkę „Satyrbia” (w latach 2016-19) i wydrukowanych.

Co jeszcze motywuje Leszka do jego twórczości pisarskiej? Chyba chęć podzielenia się swoim dość bogatym doświadczeniem życiowym (Gorzów Wlkp., Warszawa, Chicago, San Diego, Krzemowa Dolina, Austin), udanym życiem małżeńskim, rodzinnym i zawodowym, a także swoim wiecznym optymizmem i poczuciem humoru.



Sorry kuzyn - jestem uczulony na jajka.

Zapraszamy do lektury zaczynając od prologu autora do nie wydrukowanej (jeszcze) książki:

Wstępna Gadka

*Drogi Czytelniku, w ręce składam Twoje
wszystkie rymowane te tu myśli moje.
Nie jest to poezja z żadnej górnej półki
w stylu Słowackiego czy Stana "Jaskółki".*

*Siądź przy kubku kawy lub przy lampce wina
i o pracy, stresie, proszę zapominaj.
Śmieć się głośno, kiedy znajdziesz coś śmiesznego.
Lecz jak nic nie znajdziesz - zarżnę się kolego!*

*Nie chcesz mych sto kilo dźwigać na sumieniu,
proszę więc o uśmiech w żony mej imieniu!*

Poprawę obiecuję... chyba, że...

*Niejedno dziś mam postanowienie -
całą litanię z początkiem „że nie..”*

*Że nie napiję się alkoholu
na tyle, żebym jechał na holu.*

*Że jadł nie będę białego chleba,
jak już - to tylko ile potrzeba.*

*Że się nie prześpię z inną niewiastą -
bo tylko frajer wtedy by zasnął.*

*Nie pójdę z obcą kobietą w tany -
najpierw się bliżej z nią zapoznamy.*

*Że nie okłamię już żony nigdy
„że wszystkie inne dawno mi zbrzydły”.*

*Że nie opuszczę ćwiczeń w siłowni,
ale gdy ktoś mi o tym przypomni.*

*Że nie podniosę głosu wysoko
chyba, że nic nie wskóram na spoko.*

*Że nie pokłócę się nigdy z bratem -
zawsze unikał go będę zatem.*

*Że się nie spóźnię nigdy do pracy -
chyba, że żona z rana uraczy.*

*Że nie podniosę na syna ręki -
chyba, że da mi większe udręki.*

*Że się nie oddam w hazardu szpony -
jeżeli już to z pieniędzmi żony.*

*Nie będę sługą telewizora -
jeżeli już to - tylko z wieczora.*

*Nie będę w żywe oczy już kłamać -
przecież telefon po to jest, psia mać!*

*Wszystko to zrobię, nie wyjdę z tłumu -
chyba, że... znajdę więcej rozumu.*

Licytacja - czyli co się w życiu liczy

*Już dawno minęła komunizmu władza,
która to nas wszystkich do dołu 'zrównała'.
Dziś jednak niektórych tak forsa rozsadza,
że z dumy aż pęka ta dziewczynka mała:*

*- Znowu jest u mamy w salonie parada,
bo kupiła właśnie nowe buty Prada.*

A druga dziewczynka się na to zdumiała,

i taką to szczerą odpowiedź jej dała:

- Moją na to nie stać, tu nic nie poradzę - ona kupi wszystko na targu na Pradze.*
- Tatuś mój w zegarkach Bulgari gustuje.*
- Mój bułgarskie wino pije często z wujem.*
- Rodzice kupili nowe Maserati.*
- Moim się udało Mazdę wziąć na raty.*
- Kanary zwiedziłam za dobre oceny.*
- A mnie to fundnęli kanarki z przeceny.*
- Moja ciocia Klara ma swego kierowcę.*
- A moja podobno zeszła na manowce.*
- Wujek umie pięknie grać na fortepianie.*
- Mój wie jak pogrywać by mieć piękne panie.*
- Moja babcia kiedyś śpiewała w La Scali.*
- A moja ma jedno bioderko ze stali.*
- A mój dziadek wygrał kiedyś w totolotka.*
- Mój mówi, że wygrał, kiedy babcię spotkał...*

*Bogata dziewczynka na długo zamilkła.
Już nie wie czym jeszcze by zaimponować.
Żeby ją pocieszyć ta druga dziewczynka
dla zmiany zaczęła narzekać w te słowa:*

- Reksio nasz to urwis, i szczeka na ludzi.*
- Psa nie chce mamusia, bo mówi, że brudzi.*
- Brat wciąż mnie przezywa - „jesteś brzydka kaczka”.*
- Fajnie, że masz brata, jestem jedynaczka.*
- Tato grą przynudza w szachy po kolacji.*

- *Mój to nie ma czasu - stale w delegacji.*
- *Mama robi tacie bury niesłychane.*
- *Moja się spotyka czasem z innym panem.*
- *Dziadek tylko siedzi ciągle na kanapie,
Słucha głośno radia, albo głośno chrapie.*
- *Ja mojego dziadka bardzo rzadko widzę.
Bo do Domu Starców chodzić to się wstydzę...*

*Znane to dorosłym - wiedzieć muszą dzieci -
że nie wszystko złoto co się pięknie świeci.*

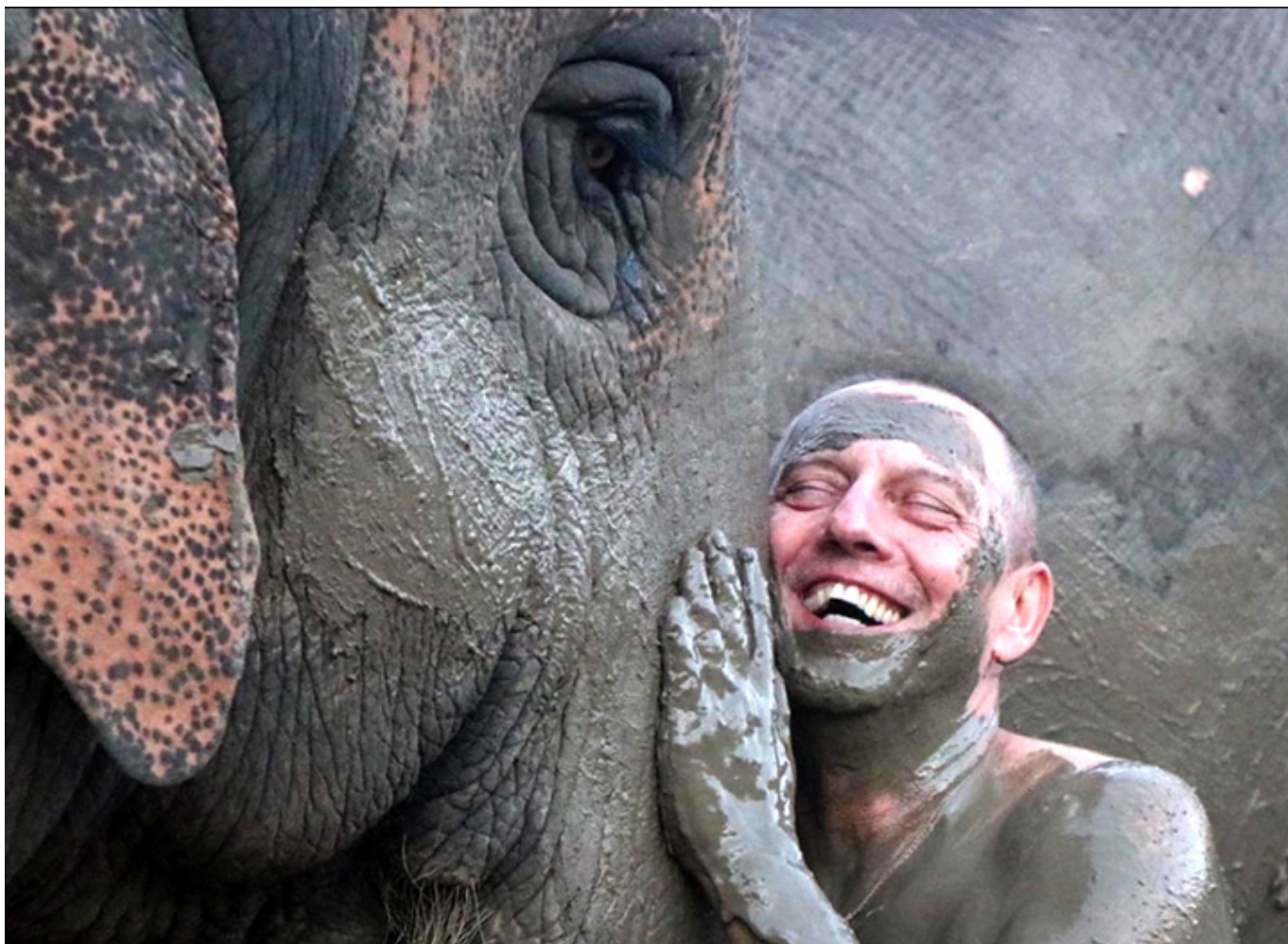
Obieży-świat czy Obejrzy-świat

*Podróże kształcą - dobrze to wiemy,
Lecz tak za często w świat się nie rwiemy.
Wymówek zawsze mamy bez liku.
Stąd ciągle Zero jest na liczniku*

*Nie chce się ruszyć, wygodnie w domu
Nie trzeba forsy bulić nikomu.
Bo czy to hotel czy restauracja,
Paliwo, show - inna atrakcja,
Rachunek mogą wystawić spory.
A nam tak szkoda naszej kasiory.
Do tego jeszcze wszystkie papiery-
Paszport i wizy, pieczątki cztery.*

*- Gadajom wszędzie nie po naszymu
Jedzom zupełnie też po innemu
Ja tam oglondnem western na tele
O Hameryce dowiem się wiele*

*Widziałem filmy o samurajach
To jakbym był już w tych chińskich krajach
Po co po świecie jeździć? - mój Boże
Mnie telewizor wykształcić może!*



Czasem, aby doznać czystej rozkoszy, trzeba się ubrudzić.

Szelma wdowa

Jarosław Abramow-Newerly (*Toronto*)



Jarosław Abramow-Newerly, fot. arch. autora

Fragment niepublikowanej nowej książki Jarosława Abramowa-Newerly'ego „Ich lwi pazur”.

Po przeniesieniu się z Poznania do Warszawy Włodek z rodziną zamieszkał na Muranowie w małym mieszkanku na Nowolipkach. Jego żona Janina, zwana Inką, nie pracowała i zajmowała się domem. Mieli małą, trzyletnią córeczką Kasię, na którą wołali Katka. Katka była śliczną blondyneczką o zadartym nosku trochę podobna do Włodka. Bardzo mi się podobała i żartowałem, że jak dorośnie to się z nią ożenię. Katka wzięła to bardzo serio, a jak Włodek ze mną przychodził to od progu wołał: - Inka! Zięc przyszedł. Zaparz nam herbaty! Włodek uwielbiał Katkę. Pragnął mieć więcej dzieci, ale Inka nie chciała o tym słyszeć. Ledwie zgodziła się na to jedno. Włodek bardzo nad tym bolał. Inka pochodziła z zamożnej rodziny Bystrzyckich, jej ojciec po wojnie był tak zwaną prywatną inicjatywą i zajmował się w swojej willi w Poznaniu hodowlą pieczarek. Nie był specjalnie zachwycony, że jego młodsza córka wyszła za mąż za chudego literata. Przyjął to jednak do wiadomości. Ambitny i dumny Włodek znając wymagania teścia tym bardziej chciał mu pokazać, że nie jest takim chudym literatem jak on myśli i potrafi swojej rodzinie zapewnić godziwy byt. Inka miała jeszcze starszą siostrę Renię i młodszego brata Bolka. Ich matka była z arystokratycznego rodu hrabiów Sczanieckich, tych samych, co słynna hrabina Emilia Sczaniecka herbu Ossoria, która niosła pomoc rannym żołnierzom w czasie powstania listopadowego. Ten zasłużony ród pochodził z miasteczka Sczaniec w Wielkopolsce. Włodekowi bardzo imponowało to pochodzenie i z

dumą podkreślał nazwisko: - Hrabina Szczaniecka nie Szczaniecka, czowieku, ze Szczańca nie Szczańca. Tym razem dykcję miał bezbłędną i zniknęła wymowa poznańska z której tak kpiłem. Inka nudziła się będąc sama w domu i jak przychodziliśmy to z ciekawością wypytywała mnie co nowego w radio i tak zwanym środowisku. Być żoną pisarza to nie jest łatwy kawałek chleba. Nie dziwiłem się jej. Była młodą, ostrą brunetką o kocim spojrzeniu szarych oczu i spragniona była towarzystwa, a Włodek prowadził bardzo monotony tryb życia. Rano wychodził do pracy, a jak wracał to zjadał kolację i zasiadał do pisania. Pisał do późna w nocy. Już wtedy miał imponujący dorobek literacki. Wydał świeżo „Kwarantannę”, a wcześniej „Białe lato” i „Miejsca nawiedzone”. Teraz był w trakcie pisania powieści „Zmierzch świata”. Był laureatem prestiżowej nagrody młodych imienia Tadeusza Borowskiego. Borowski autor wstrząsających opowiadań oświęcimskich „Pożegnanie z Marią” i „Proszę państwa do gazu” zmarł śmiercią samobójczą w 1951 roku. Myślę, że ta prestiżowa nagroda jego imienia pomogła Włódkowi w przeniesieniu się do Warszawy i otrzymaniu posady w radio.

Często do Odojewskich przyjeżdżała z Poznania siostrzennica Inki Hania, córka Reni z pierwszego małżeństwa. Renia miała chyba oprócz ojca Hani bodajże jeszcze dwóch mężów. Hania była wtedy piętnastoletnią dziewczyną dość ładną o trochę puciołowatej twarzy. Jak Włódkowie wyszli do kuchni, a Katka już spała i zostaliśmy sami, Hania wyraźnie zaczęła mnie uwodzić. Zbliżyła się do mnie blisko twarzą, patrzyła wyzywająco w oczy i wyraźnie czekała, żebym ją pocałował. Na szczęście z tej kłopotliwej sytuacji wybawił mnie Włodek, który wszedł do pokoju. Obydwoje Odojewscy bardzo lubili Hanię, a Włodek jej trochę ojcował. Znali ją od dziecka.

Włodek bardzo przeżył wydarzenia poznańskie w czerwcu 1956 roku. Pracował wtedy jako dziennikarz i był na miejscu wypadków. - W prosektorium widziałem zwały trupów, kochany. Pomordowanych robotników z Zakładów Cegielskiego i zwykłych przechodniów. Leżeli w wannach w formalinie. Przerażający widok. Władze to wszystko ukrywały. Robiłem na gorąco notatki, bo chciałem to kiedyś opisać. Te notatki mam w swoim archiwum - mówił. W geście protestu wystąpił z partii w 1957 roku, za co wyrzucono go z pracy w „Tygodniku Zachodnim”.

Wszystkie świeżo napisane rozdziały najpierw dawał do przeczytania Ince, z której zdaniem bardzo się liczył. Ona była pierwszą czytelniczką i jeżeli coś jej się nie podobało to Włodek zmieniał i poprawiał. Fragmenty swojej prozy drukował w tygodniku „Współczesność”, z którym był związany. Miał tam wielu kolegów i przyjaciół, którzy odwiedzali nasz redakcyjny pokój. Mnie bardzo podobały się rozdziały „Kwarantanny”, które dał mi do przeczytania. Miałem tylko jedną uwagę. Namawiałem go, żeby bardziej konkretnie umiejscawiał akcję powieści. Dotyczyło to głównie nazw miejscowości. Żeby było wiadomo gdzie to się dzieje, a nie wszędzie czyli nigdzie. Chodziło o opis naszych Kresów. Włodek trochę ze względu na cenzurę odrealniał ten tekst, ale teraz powiedział, że pójdzie na całego. No i poszedł.

Raz na tydzień odbywały się u dyrektor Aliny Szenwaldowej kolegia, na które zapraszani byli kierownicy wszystkich redakcji literackich. A było ich naprawdę wiele. Nasze redakcje słuchowiskowe, redakcja adaptacji radiowych, redakcja prozy, redakcja poetycka, redakcja reportażu dźwiękowego i literackiego, redakcja „W Jezioranach”, nowej powieści radiowej rozgrywającej się na wsi, wreszcie redakcja satyry i humoru. Ta ostatnia mieściła się na drugim piętrze i zatrudnionych w niej było wielu znakomitych humorystów i satyryków, dość, że wymienię twórcę radiowego kabaretu „Szpak”, opiekuna naszego studenckiego teatru STS, Zenona Wiktorczyka, znanego powszechnie z popularnej audycji „Podwieczorek przy mikrofonie”, Jeremiego Przyborę, Ludwika Górskiego, Henryka Bardijewskiego i wielu innych. Radio na Myśliwieckiej to było wtedy imperium, które szczyciło się swoją artystyczną odrębnością i śmiało konkurowało z radiem przy ulicy Malczewskiego, w którym urzędowali prezesi Radiokomiteu i był tam dział publicystyczny, zwany realizacją. A Alina Szenwaldowa była w tym imperium żelazną damą, która twardo rządziła tu od wielu lat. Była przedwojenną ideową komunistką, żoną bohaterskiego poety żołnierza Lucjana Szenwalda poległego na froncie w 1944 roku. Jego imienia były szkoły i ulice w Polsce. Myślę, że właśnie złośliwcy z redakcji satyry i humoru ukuli o niej nazwę Szelma Wdowa.

Szenwaldowa była wtedy kobietą po pięćdziesiątce, bardzo wysoką i potężnie zbudowaną. Do jej gabinetu na naszym pierwszym piętrze wchodziło się przez sekretariat, w którym urzędowała wierna sekretarka młoda i ładna Lusja Abolnikow. Alina Szenwaldowa z racji swojej funkcji bardzo dużo czytała i interesowała się młodymi pisarzami, których chciała za wszelką cenę przyciągnąć do

radia. Była krótkowidzem i jak czytała tekst to przykładła go blisko oczu. Bardzo nas młodych lubiła i w gabinecie odkładając tekst od oczu przyjaźnie witała: - I co nowego, chłopcy? Mówcie śmiało - pytała. Starła się być dla nas dobrotliwą cicią i wiele spraw mogliśmy z nią załatwić. To ona, zaraz po moim przyjeździe do pracy, namawiała mnie, żebym zrobił coś takiego jak w STS-ie. Za jej zachętą przestawiłem istniejącą już audycję Radiowy Teatrzyk Miniatur „Zwierciadło” na te esteesowskie tory. Tylko zamiast humorystycznych skeczów nadawałem miniatury literackie poprzedzielane piosenkami. Zamawiałem je u kolegów młodych pisarzy. Do „Zwierciadła” pisali teksty Janusz Krasiński, Ireneusz Iredeński, Marek Nowakowski, Andrzej Krzysztof Wróblewski i wielu innych. Pisali chętnie bo dopingował ich bodziec finansowy. Świetnie i szybko wypłacałem honorarium, które wynosiło wtedy za każdą miniaturę 300 złotych. Zaraz po nadaniu audycji szli z kwitem do radiowej kasy przy ulicy Noakowskiego i pobierali pieniądze.



Włodzimierz Odojewski, 1955 r., fot. arch. W. Odojewskiego

Teksty piosenek do „Zwierciadła” pisali Agnieszka Osiecka, Edward Fiszer, Jerzy Sułkowski, Włodzimierz Słobodnik, muzykę zaś do niej komponowali moi przyjaciele z STS-u Marek Lusztig i Edward Pałasz. W „Zwierciadle” debiutował w radio młodzieńcy Wojciech Młynarski. Jego piosenkę napisaną wspólnie z kuzynem Romanem Orłowem przyniosła do mnie do redakcji jego mama - Magdalena Młynarska, która występowała w radio w audycjach dla dzieci razem z moją Mamą. Również znana później kompozytorka Katarzyna Gaertner pierwszą swoją piosenkę nagrała w „Zwierciadle”. Na tych kolegiach u Aliny Szenwaldowej zatwierdzano plany poszczególnych redakcji. Każdy kierownik redakcji mówił co zamierza zrobić, a Alina Szenwaldowa na ogół dość łatwo to akceptowała. Często namawiała nas na zrobienie adaptacji książek, które przeczytała lub próbowała wprowadzić do radia pisarzy popieranych przez władze.

Kiedy wymieniała nazwisko takiego ulubieńca reżimu Włodek nie wytrzymał i wykrzykiwał: - Ależ to potworny grafoman, pani Alino! Nie da się go czytać. - Ja wiem, panie Włodku, ale może można by było go jakoś przerobić. Dobrze by było bowiem dla radia żeby zaistniał na antenie - dawała lekko do zrozumienia, że ją z góry naciska o to kierownictwo.

Włodek nie krył swoich przekonań i niezależnej postawy. Czasem wybuchał zbyt szczerze tak, że ja go hamowałem. Pamiętam raz na takim kolegium Alina Szenwaldowa zaczęła narzekać na kolejki w aptekach i w sklepach. - To nie do wytrzymania! - uzalała się. Włodek jej przerwał i wypalił: - To wy komuniści wprowadziliście w 1949 roku tak zwaną bitwę o handel. Przedtem kolejek nie było i nie „czeba” było rzucać towaru do sklepów. To pani towarzysze tak nas urządzili. Do nich niech pani ma pretensje, pani Alino! - stwierdził.

W duchu zadrzałem i czekałem co będzie dalej. Ale Alina Szenwaldowa dobrotliwie uśmiechnęła się i polubownie powiedziała: - Już dobrze, panie Włodku. Nie mówmy o handlu. Jakie słuchowiska pan ostatnio nagrał? - zmieniła temat. Miała dobry gust literacki i ceniła bardzo Włodka jako wybitnego pisarza i świetnego redaktora, który w krótkim czasie rozwinął dział słuchowiskowy do niebywałych rozmiarów. Zaczęto mówić o polskiej szkole słuchowiska radiowego. Do pisania słuchowisk Włodek zachęcał pisarzy z całego kraju. Dbał o tych, którzy byli w biedzie i potrzebowali finansowego wsparcia. Na przykład bardzo cenił Stanisława Swena Czachorowskiego, trudnego awangardowego poetę. Pamiętam poszliśmy raz z Włodkiem do Swena do domu. Mieszkał w jakiejś suterenie w śródmieściu z żoną plastyczką, która wyrabiała gliniane figurki i z tego się utrzymywali. Parę takich figurek podarowała mi na pamiątkę. Sam Swen był wtedy chory i leżał w łóżku. Zrobił na mnie miłe wrażenie wrażliwego i niezaradnego człowieka. Włodek wy dobył od niego tekst pisany prozą, przerobił ją na słuchowisko i nadał w radio. W ten sposób Swen otrzymał trochę pieniędzy. - Swen Czachorowski to wybitny poeta. Podczas okupacji stworzył wraz z Mironem Białoszewskim teatr, który nazwali „Swen” - powiedział Włodek - Teatr ten działał w konspiracji przez dwa lata. Był podobnie awangardowy jak późniejszy Teatr na Tarczyńskiej Mirona Białoszewskiego - dokończył.

- Byłem w Teatrze na Tarczyńskiej w 1956 roku - odparłem - Teatr ten polecił nam,

członkom STS-u nie kto inny tylko minister Kultury i Sztuki Włodzimierz Sokorski. I muszę przyznać, że byłem bardzo rozczarowany widząc Białoszewskiego z wymalowaną twarzą jak igra ze słowami, które nic nie znaczyły. Wzburzony po tym przedstawieniu, które było według mnie bezideowe i o nic nie walczyło napisałem do STS-monolog „Wróżka” zaczynający się od słów: – Abra kadabra! Ale aleje leje jeleń! – i dalej w tym stylu parodiowałem Białoszewskiego. Dziś przyznaję się, że nie poznałem się na jego oryginalnym talencie. Poznała się na nim zaś moja węgierska tłumaczka Gracja Kerenyi, która o Teatrze na Tarczyńskiej napisała pracę doktorską. – No, widzisz! Zdarza się! Ale parodia znakomita. Ale aleje leje jeleń-powtórzył ze śmiechem Włodek.

Chętnie nadawał w swoim Studio Współczesnym innego wybitnego poetę lingwistę, którego znał jeszcze z czasów poznańskich – Tymoteusza Karpowicza. Karpowicz przesyłał mu swoje słuchowiska z Wrocławia: – No, jaki ten Karpowicz jest? – pytałem. – Za długi, czowieku! Pomysł kapitalny. Ale rzecz strasznie przegadana! Na dwie godziny grania. Będę ją musiał w domu przyciąć – mówił wkładając tekst do teczki. – Odwieszysz mnie? – spytał. – Jasne! – odparłem.

Jako nieliczny pracownik radia miałem swój samochód. Był to przedwojenny Citroen BL11, który kupiłem w 1959 roku podczas mojego pobytu we Francji. Miałem z nim mnóstwo kłopotów, bo ciągle się psuł i musiałem oddawać go do warsztatów naprawy. Najczęściej wysiadały mu przednie przeguby, które trzeba było wymieniać. Kosztowało mnie to kupę forsy, ale i przyjemność była duża. Mogłem zadawać szyku przed kolegami. Kiedy więc przyjeżdżałem do pracy swoim czarnym bolidem, jak żartobliwie nazywał ten wóz Zygmunt Hertz z paryskiej „Kultury”, to odwoziłem zawsze Włodka na Muranów, a potem jechałem do siebie na Żoliborz. Obydwaj zabieraliśmy teksty do zredagowania w domu, bo w radio w tym przeludnionym pokoju nie było do tego warunków. W związku z tym wywalczyliśmy u dyrektor Szenwaldowej prawo do późniejszego przychodzenia do pracy, bądź opuszczania niektórych dni. Przed naszym przyjściem do radia obowiązywała surowa lista obecności, którą podpisywało się po przyjściu do pracy przy strażniku o ósmej godzinie rano. Pobyt w redakcji trwał do godziny 16-ej. Pełne osiem godzin. My przekonaliśmy Szenwaldową, że nie jesteśmy urzędnikami tylko pisarzami i rozliczani powinniśmy być z tego co napiszemy i zredagujemy, a nie z tego, że przesiedzimy w redakcji przykładnie osiem godzin od dzwonka do dzwonka.

Alina

Szenwaldowa, inteligentna kobieta widząc, że mamy rację przystała na tę niepisaną umowę. W ten sposób często pracowaliśmy w domu, a w radio jeden drugiego zastępował. Jak Włodek był nieobecny, to ja załatwiałem jego interesantów.



Włodzimierz Odojewski, 1965 r., fot. arch. W. Odojewskiego

Byłem w lepszej sytuacji od niego, bo on pracował sam. Tylko przez krótki czas zatrudniony był na etacie Janusz Krasieński i Władysław Lech Terlecki. A w mojej redakcji urzędował przykładowo mój zastępca Andrzej Wiktor Piotrowski oraz Jadwiga Płońska - i oni mnie zastępowali. Obydwoje byli świetnymi redaktorami i zajmowali się adaptacjami powieści na słuchowiska. Andrzej jako wielki erudyta i

mól książkowy wynajdywał interesujące teksty, robił też znakomite faktomontaże. Zapamiętałem jego wstrząsający faktomontaż zrobiony w dwudziestą rocznicę Powstania w Getcie Warszawskim w 1943 roku. Andrzej wygrzebał ulotki i odezwy z tamtych czasów i wszystko to robiło duże wrażenie. Z czasem i oni nauczyli się przychodzić później do radia albo wręcz nie przychodzić – Jarosław! Czy pozwolisz, że ja jutro zostanę w domu, bo mam do zredagowania ważny tekst, a tu nie mam warunków! – rzekł Piotr głęboko patrząc mi w oczy i gryząc wykałaczkę. Oczywiście zgodziłem się.

Jadwiga Płońska była rodowitą lwowianką i mieszkała we Lwowie do 1945 roku. W jej wymowie jednak nie było śladu lwowskiego akcentu. Była żoną starszego od siebie o wiele lat pułkownika Doriana Płońskiego, który zmarł przed paru laty. Miała z nim córkę Martę, kilkunastoletnią dziewczynkę. Jadzia były bardzo wesoła i towarzyska i przychodziło do niej do pokoju wiele przyjaciółek. Przede wszystkim Zofia Posmysz, która oprócz tego, że prowadziła redakcję „W Jezioranach” napisała świeżo słuchowisko „Pasażerka”, w którym wykorzystała swoje doświadczenia w Oświęcimiu, do którego trafiła jako młoda dziewczyna. Wkrótce „Pasażerka” przerobiona została na widowisko telewizyjne, a następnie według tego scenariusza zaczął kręcić film młody i utalentowany reżyser Andrzej Munk. Nie zdążył jednak ukończyć filmu, bo zginął śmiercią tragiczną w katastrofie samochodowej w 1961 roku i „Pasażerkę” dokończył za niego jego przyjaciel reżyser Witold Lesiewicz. Po powstaniu filmu „Pasażerka” stała się głośna i zrobiła międzynarodową karierę. Zainteresował się nią radziecki kompozytor Mieczysław Weinberg, który według jej libretta stworzył operę graną do dziś na całym świecie. Do Jadzi przychodził też często młody Józef Hen. Znał świetnie jej męża Dorian Płońskiego, który był redaktorem naczelnym tygodnika „Żołnierz Polski”. W tym tygodniku Hen pracował. Z racji tej wizyty Jadzia dała mi do czytania jego świeżo wydaną książkę „Więzień i jasnowłosa”, która zrobiła na mnie duże wrażenie.

Czasem tym moim bolidem robiliśmy krótkie wypadki. Na przykład jechaliśmy do słynnej restauracji Berentowicza w Konstancinie na faszerowane kurczaki. Berentowicz służył z nich jeszcze przed wojną. Ledwie usiedliśmy przy stole, a pod restaurację zajechał taki sam jak mój citroen tylko większy BL15 i wysiadł z niego otyły starszy pan z siwą grzywą lwa podpierający się dwiema łaskami. Wywijając nimi dziarsko wmaszerował do środka: – Czowieku! – trącił mnie Włodek – Pacz! To

Cat! Cat-Mackiewicz! Rzeczywiście był to on. Na jego powitanie wyszedł w kucharskim fartuchu właściciel restauracji Berentowicz i kłaniając się nisko powiedział: - Proszę bardzo, panie premierze. Do drugiej sali. Wszystko przygotowane! - To świetnie, kochasiu! - pochwalił go Cat-Mackiewicz z wileńskim akcentem i pomaszerował do sali obok. - Jesteśmy w dobrym przedwojennym towarzystwie, panowie - stwierdził Andrzej Piotrowski, czyli Piotr albo Pietruszka jak go nazywaliśmy, i przypomniał, że w 1956 roku jak Cat-Mackiewicz przestał być premierem w Londynie i przyjechał do Polski, to w Gdańsku występował STS z „Agitką” i ktoś go przyprowadził na nasze przedstawienie. Cat przecierał oczy i nie wierzył, że taka wolność panuje w Polsce. Myślał, że to prowokacja i za chwilę będzie aresztowany - zachichotał Piotr.

Kelner przyniósł nam kurczaki i przystąpiliśmy do jedzenia. - No jak, panowie? - Cat-Mackiewicz wie co dobre. Ponoć jest wielkim smakoszem! - rzekł Piotr. - Wyśmienite! Czeba przyznać! - odparł Włodek i po tej przedwojennej uczcie kulinarnej w świetnych humorach wróciliśmy do domu.